

WIELKA BITWA

Pamiętam czasy, w których wszystkie rasy żyły ze sobą w pokoju... W Lyrianie panowała harmonia, nie toczono bitew o terytoria. Wszelkie istoty były pod władzą króla Adonisa, który sprawiedliwie rządził swymi posiadłościami. Niestety, wszystko ma swój koniec... Adonis po długich latach panowania nad Lyrianem zachorował na nieznaną chorobę. Nawet leśne skrzaty słynące ze swoich leczniczych ziół czy skrzydlate elfy, będące władcami magii nie potrafiły mu pomóc. Po krótkim czasie król zmarł.

Adonis miał dwóch synów; starszy na imię miał Adevar, a młodszy Dayan. W końcu lud postanowił posadzić na tronie dwudziestoletniego Adevara, gdyż trzynastoletni Dayan był zbyt młody. Okazało się to wielkim błędem; nowy król nie był taki sprawiedliwy jak jego ojciec, a przez wprowadzone przez niego reformacje ludzie i elfy zaczęli toczyć między sobą wojny. Utworzono osobne terytoria dla elfów i ludzi, a na ich pograniczach najczęściej rozgrywały się krwawe bitwy. Palono wioski, brano istoty innych ras do niewoli. W skrócie - w Lyrianie panuje chaos. Skrzaty i smoki były neutralne i przeniosły się na inne tereny, by nie wplątać się w tę wojnę. Krasnale zamieszkały w lasach po drugiej stronie gór, gady natomiast wybrały góry, a miejsce, w którym osiadły, zostało nazwane Smoczymi Skałami. Dlaczego Adevar tak bardzo nienawidzi elfów – tego nie wie nikt.

Od kilku miesięcy jest mowa o Wielkiej Bitwie, która ma mieć miejsce na granicy pomiędzy terytoriami ludzi i elfów, jakoś za półtora tygodnia. Niestety, wojna spowodowała, że nasz gatunek prawie całkowicie wyginął. Ostatnio drugiego przedstawiciela mojej rasy widziałam pięć lub sześć lat temu. Był to mój przyjaciel, jego imię to Kiyuko. Natknęliśmy się wtedy na strażników, którzy szli do zamku króla Adevara. Zostaliśmy zaatakowani, a Kiyuko kazał mi uciekać. Chciałam mu pomóc, jednak przyjaciel nie pozwolił mi na to. Wtedy właśnie widziałam go po raz ostatni.



Chłodny, ostry wiatr zdawał się biczować moje policzki, a pierwsze kropelki deszczu zaczęły spadać na ziemię. Zielony kaptur peleryny powoli zsuwał się z mojej głowy, a miał w tym udział mężczyzna stojący za mną. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech, czując jak pętla zostaje zaciśnięta na mojej szyi. Spojrzałam w dół przez przymrużone powieki; jeden krok wystarczył, by opaść w dół. Kat popchnął mnie do przodu, a ja spadałam z platformy.



Kilka godzin później, gdy ludzie przysli, nie znaleźli ciała, ale przeciętą linę. Patrzyłam na ich zdziwione miny zza krzaków na skraju lasu. Zarzuciłam kaptur na głowę i poszłam w głąb puszczy. Pytasz, kim są ci, którzy chcieli mnie powiesić? Ludzie. Nienawidzę ich za wszystko, co mi zrobili. Co zrobili mojemu narodowi.

Otóż... jestem leśnym elfem. Me imię to Aisa. Aisa Sailonne. Pochodzę z Sahalardu. Tak, to właśnie ta wioska, która piętnaście lat temu została spalona przez ludzi. Właśnie dlatego tak gardzę tą rasą. Nawet z wzajemnością. Widziałeś przecież, co kilka godzin temu stało się tam, na rynku miasta. Chcą wybić cały gatunek elfów, a ja pragnę temu zapobiec. Tak, szanse są znikome, ale bez względu na powodzenie mojej „misji” chcę pomścić swoją rodzinę i przyjaciół...

Mogłabym nawiązać kontakt ze skrzydlatymi elfami, jednak te nie są zbyt przyjaźnie nastawione do mojej rasy. One by pomogły, znają sztukę magii, a ja? Ech, chciałabym nauczyć się rzucania czarów, jednak jest to jedynie umiejętność wrodzona, więc nie mam szans... Myślałam też o uzyskaniu pomocy ze strony skrzatów i smoków. Niestety, jak już wspominałam na początku, obie rasy nie chcą mieszać się w tę wojnę, dlatego i z tego muszę zrezygnować.

Pogrążona w rozmyśleniach nie zauważyłam, że ktoś mnie śledzi. Już dochodziłam do ukrytego przejścia, które prowadziło do mej kryjówki. Wtem ktoś chwycił mnie za szyję. Poczułam chłód ostrza sztyletu na mojej krtani. Zaśmiałam się w duchu; widocznie mój prześladowca nie znał moich możliwości.

Skrzyżowałam ręce na piersi tak, by moje palce dotykały ramion i chwyciłam dłoń napastnika, wykręcając je. Sztylet wypadł mu z dłoni, za plecami usłyszałam jęk. Schyliłam się po broń leżącą przede mną na trawie, zarazem wykonując wymach nogą. Tym sposobem kopnęłam napastnika najprawdopodobniej w krocze, więc szybko uciekłam w bok, by postać nie upadła na mnie.

Spojrzałam na przeciwnika leżącego na trawie. Ten wstał i poprawił sobie czarną chustę na głowie, przykrywając uszy i włosy. Dojrzałam ciemny kosmyk wystający spod materiału. Otrzeptał z ziemi czarną bluzkę i spodnie, po czym spojrzał na mnie lekko zdziwiony. Mężczyzna miał jadowicie zielone oczy – podobnie jak ja -, a jego spojrzenie było mi znajome... Zaraz, zaraz... To nie był człowiek, tylko... elf! Jego lekko odstających, szpiczastych uszu nie dało się ukryć nawet pod chustą; było widać ich zarys.

Może i był to przedstawiciel mojej rasy, ale dlaczego mnie zaatakował? No tak, przecież miałam kaptur na głowie. Nie widział moich charakterystycznych uszu. Zmierzyłam go wzrokiem. W duchu cieszyłam się, że jednak nie jestem ostatnią przedstawicielką leśnych elfów, ale na zewnątrz patrzyłam na niego jak na wroga. Bo możliwe, że ten elf, aby nie zostać zabitym, dołączył do ludzkich wojsk. Dlatego też wolałam dmuchać na zimne i nie powiedziałam do niego przyjaźnie: „Hej, zaprzyjaźnimy się?”, tylko w milczeniu obserwowałam jego ruchy.

- Witaj – powiedział elf naszym językiem. Jak ja dawno nie słyszałam tego słowa... Zwykle docierały do mnie obelgi czy inne negatywne wyrazy i to w ludzkim języku.

Mimo radości, która mnie rozpieszczała, nie odpowiedziałam mu.

- Dlaczego nic nie mówisz? Nie rozumiesz mnie? – spytał nieznajomy, patrząc na mnie z lekko zmarszczonymi brwiami

- Rozumiem – odpowiedziałam cicho, patrząc mu w oczy.

Nie wiedziałam, dlaczego nie byłam nastawiona do niego przyjaźnie. Coś we mnie kazało mi uważać na tego elfa. Dlatego też postanowiłam potraktować go jak każdego i po prostu pozbawić go przytomności. Ale gdy wykonałam zamach ręką,

ten w porę się zorientował i chwycił mnie za nadgarstek. *Niezły refleks* – skomentowałam w myślach, obserwując elfa. Jego jaskrawe oczy patrzyły na nasze dłonie, a potem skierowały się w moją stronę.

- Jestem ciekaw, co.. – zaczął, ale wtedy wykonałam zamach drugą ręką i uderzyłam go zaciśniętą pięścią w potylicę. Elf osunął się na ziemię, a ja uciekłam.

Przystanąłam przy wielkim dębie i, widząc, że elf mnie nie goni (co jest równoznaczne z tym, że faktycznie stracił przytomność), usiadłam w cieniu drzewa, opierając się o gruby pień. Droga do mojej kryjówki nie była daleka, więc po chwili kontynuowałam wędrówkę. W końcu dotarłam do starego bunkra mieszczącego się na skraju lasu. Porośnięty był mchem i bluszczem, częściowo zakryty liśćmi. Odnalazszy drzwi, weszłam do środka.

Moja kryjówka była ciemna i wilgotna, ale najważniejsze było to, że nikt oprócz mnie nie wiedział o istnieniu tego budynku. Spędzałam tu mało czasu; bunkier rzadko służył mi za miejsce na nocleg, częściej za spiżarnię czy przechowalnię mojego ekwipunku. Tym razem przyszedłam tu po swój łuk i kołczan.

Postanowiłam, że wybiorę się w góry. Może smoki albo skrzaty zgodzą się mi pomóc. Szanse były niewielkie, ale warto było spróbować.

Spojrzałam na to, co przechowywałam w bunkrze. Nie było tego wiele. W końcu rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, co przyda mi się w podróży. Najpierw zobaczyłam sznur – nawet nie pamiętałam, skąd on się tu wziął. Wzięłam go do ręki i sprawdziłam jego wytrzymałość, szarpiąc go. Był mocny, więc postanowiłam go wziąć - mógł się przydać. Moją uwagę przykuł też łuk i kołczan. Broń była wykonana z mocnego drewna, najprawdopodobniej z hebanu. Miejsce na uchwyt było pokryte srebrnym metalem, a na nim wykute moje inicjały – AS. Uwielbiam ten łuk. Podniosłam mocny, skórzany kołczan i przeliczyłam strzały, również wykonane z hebanu, z moimi inicjałami. Było ich równo piętnaście. Zarzuciłam kołczan na ramię, a łuk przełożyłam przez głowę. Postanowiłam wziąć też sztylet, tak na wszelki wypadek. Schowałam ostrze do specjalnej pochwy doszytej do mojego prawego buta, po czym wyszłam z bunkra.

Skierowałam się w stronę gór ledwie widocznych na horyzoncie. Zdawałam sobie sprawę z tego, że droga była długa i pełna niebezpieczeństw. Być może ta podróż nie miała sensu; całkiem możliwe, że nikt nie zgodzi się mi pomóc. Ale cóż, warto spróbować – i tak w tej części kraju nie było zbyt bezpiecznie. Jeśli już tam dotrę i nikt nie zgodzi się do mnie dołączyć, zamieszkam tam. Przynajmniej będę miała spokój.

Przez niecałą godzinę moja podróż przebywała spokojnie. W końcu dotarłam do zaschniętego koryta rzecznej wyznaczającej granice między Lyrianem a Terranową. Spodziewałam się, że spotkam tu banitów. I tak też się stało.

Najpierw usłyszałam za sobą szelest, jakby ktoś przebiegał tuż obok mnie, Instyktownie chwyciłam łuk i naciągnęłam strzałę na jego cięciwę, odwracając się, ale oczywiście nikogo nie zauważyłam. To na pewno byli banici, więc musiałam trzymać się na baczności. Cięciwa łuku nadal była naciągnięta, byłam gotowa by w odpowiednim momencie wypuścić strzałę. Długo musiałam czekać, by rabusie

wreszcie się pojawili. Było ich tylko trzech, więc odetchnęłam z ulgą. Gorzej by było, gdyby zjawilo się ich więcej, na przykład sześciu czy dziesięciu.

- Co tu robisz sama, panienko? – spytał nonszalancko jeden z banitów, robiąc krok w moją stronę. Prawą dłonią trzymał rękojeść ostrza (sądząc po wielkości pochwy, w której był schowany, był to sztylet), gotowy do ataku.

Ja nie odpowiedziałam. Byłam zajęta myśleniem nad planem, jak ich przechytryć. Mężczyźni zaśmiali się.

- Niby taka odważna, łuk trzyma, ale strzały to nie puści! – zakpił drugi.

- Pokaż, co tam masz w tej torbie – powiedział ten pierwszy banita, robiąc kolejny krok w moją stronę. W końcu zbliżył się na tyle, by mógł sięgnąć po moją skózaną torbę, którą nosiłam na ramieniu. To był odpowiedni moment na to, by rozpocząć akcję. Kopnęłam mężczyznę w brzuch, a gdy ten chwycił się za niego, popchnęłam go do przodu. Banita przewrócił się. Wypuściłam strzałę w kierunku drugiego łotra. Nie chciałam ich zabijać, więc wycelowałam w łydkę. Jest to najlepsze miejsce, by przeciwnik cierpieć i nie mógł sprawnie chodzić, ale by przeżył.

Wyjęłam z kołczanu kolejną strzałę i szybko naciągnęłam ją na cięciwę łuku. Wycelowałam w łydkę ostatniego banity, który biegł w moją stronę z bronią w dłoni. Puściłam strzałę, jednak mężczyzna podskoczył, omijając atak. Początkowo byłam zaskoczona jego refleksem, ale po chwili potknął się o koniec strzały wbity w ziemię, przez co na moment stracił równowagę. Szybko czmychnęłam w bok. Banita podniósł się i zamachnął by zadać cios. Widząc, że pozostała dwójka się już podniosła, puściłam się biegiem przez zaschnięte koryta rzeczne. Ci ruszyli za mną, a tamten, którego łydka przeszła była strzałą, oczywiście szedł wolno z powodu bólu.

Nie przerywałam biegu. Po chwili zobaczyłam, że z jednej z gór zsypuje się kilka odłamków skał. Przyspieszyłam, by lawina zagroziła drogę banitom, a nie mnie. Gdyby tak się stało, byłabym bezpieczna.

Udało się. Kamienie spadły tuż przed łotrami, a ja przebiegłam w ostatnim momencie na drugą stronę. Myślę, że raczej już nie będą mnie gonić – nie mają po co. Wiedzą, że nic mi nie ukradną. I dobrze.

Jak się okazało, słońce chyliło się już ku zachodowi. Pora znaleźć miejsce na nocleg. Skierowałam się więc w stronę lasu, by tam odnaleźć bezpieczną kryjówkę, w której mogłabym spędzić noc.

W nocy las wyglądał trochę upiornie, ale z drugiej strony ta tajemniczość, pohukiwanie sów i złowrogie szmery wśród krzewów nadawały puszczy uroku. Szłam tak, co chwila rozglądając się dookoła z obawą, że ktoś mnie śledzi. Jednak tak nie było. Wkrótce dotarłam do dużego, majestatycznego dębu, gdzie wśród wielkich korzeni wystających na powierzchnię ziemi zrobiła się dziura. Było to idealne miejsce, by wypocząć.

Zanim udałam się spać, postanowiłam zapolować – głód bardzo mi doskwierał. Wyposażona w łuk, strzały i sztylet udałam się na łowy. Niedaleko mojej nowej kryjówki była polanka, a na niej dużo zajęczych nerek. Polowanie więc nie sprawiło mi większej trudności; już po chwili siedziałam przy rozpalonym ognisku, piekąc dorodnego szaraka.

Podczas gdy wpatrywałam się w złote języki ognia, usłyszałam jakiś szmer. Rozejrzałam się i, nie widząc nikogo, wzruszyłam ramionami – uznałam, że to po

prostu wiatr. Po chwili do moich uszu znów dotarł ten sam szmer... a raczej szept. Słyszałam, jak ktoś wymawia moje imię. Wstałam, by rozejrzeć się za nieproszonym gościem. Długo nikogo nie widziałam, ale w końcu w mroku dojrzałam fioletowe światełko. Zaraz za nim pojawiło się niebieskie. Po pewnym czasie było ich już kilkanaście, a wszystkie, co do jednego, zbliżały się w moją stronę.

Gdy tylko zobaczyłam je z bliska, mogłam określić, co to takiego. Były to dobrze mi znane z opowieści święte duszki. Nikt nie wiedział, skąd te wspaniałe istoty pochodzą ani jaka jest ich rola. Ja wiedziałam tylko jedno; święte duszki są bardzo piękne! Z wyglądu przypominały meduzy z kilkoma różnicami; miały różne kolory, świeciły się i latały. Były naprawdę urocze.

Jak się okazało, to one wymawiały moje imię. Wyciągnęłam rękę, by dotknąć jednego z nich. Miał kolor różowy. Był ciepły, a gdy mój palec spotkał się z tą małą istotką, poczułam, jak dziwny, acz przyjemny, prądzik przebiega moje ciało. Uśmiechnęłam się do świętego duszka, a ten zbliżył się do mnie bardziej. Byłam ciekawa, po co te małe istoty przybyły do mnie. Nie zdążyłam się ich o to spytać, bo tak szybko, jak się pojawiły, tak zniknęły.

Po chwili poczułam zapach spalenizny. Spojrzałam na zająca – przypalił się! Szybko zdjęłam go z ognia i sztyletem odkroiłam od niego tą za mocno przypieczoną część. Zabrałam się do jedzenia, a po sytym posiłku zgasiałam ognisko i weszłam do kryjówki pod drzewem.

Było to idealne miejsce na nocleg; przez wejście wpadało księżycowe światło, nie było też wilgotno. Nie miałam problemów z zaśnięciem, a noc minęła spokojnie. Poranek powitałam więc w dobrym nastroju, byłam wypoczęta.

Już szykowałam się do wyjścia z kryjówki, ale przed tym powstrzymały mnie głosy z zewnątrz. Sądząc po języku, z pewnością należały do ludzi. Czyżbym trafiła na ich terytorium? Jeśli tak, musiałam jak najszybciej stąd uciekać. Założyłam więc swoją pelerynę, a głęboki kaptur zarzuciłam na głowę. Poczekiałam na odpowiedni moment i wyszłam z kryjówki. Na szczęście ludzi łatwo przechytrzyć; twarz ukryta w cieniu kaptura nie budziła u nich żadnych wątpliwości. Bez problemu przeszłam na „swoj” teren i z radością zauważyłam, że jestem bardzo blisko celu. Od gór, czyli miejsca zamieszkania skrzydlatych elfów, skrzatów i smoków dzieliło mnie parę kilometrów. Po godzinie dotarłam na miejsce.

Wzgórza z bliska wyglądały niesamowicie, zapierały dech w piersiach. Przechodziłam koło tych majestatycznych wzniesień w poszukiwaniu skrzydlatych elfów – to one mieszkały tutaj. Smoki żyły po drugiej stronie gór, a skrzaty jeszcze dalej – w lesie, za terenem gadów.

W końcu spotkałam trzy skrzydlate elfki rozmawiające o czymś. Zignorowały moje przyście; być może, będąc zajęte rozmową, nie zauważyły mnie. Wzięłam głęboki oddech i odchrząknęłam. Nie doczekawszy żadnej reakcji, powiedziałam lekko podniesionym głosem:

- Witajcie, czy któraś z was mogłaby zaprowadzić mnie do waszego przywódcy?

Cała trójka odwróciła się w moją stronę. Zauważywszy, że jestem przedstawicielką innego gatunku, dwie z nich zaczęły kontynuować rozmowę. Ta trzecia przypatrywała mi się z zainteresowaniem, pytając, dlaczego chciałabym z nim porozmawiać.

- No, e... Mam ważną sprawę do niego – wydukałam, gdyż jej fioletowe oczy zdawały się mnie przeświecać.

Elfka odgarnęła niesforny, rudy kosmyk z twarzy i chyba przestała czytać z mego umysłu, gdyż dziwne uczucie zniknęło.

- Hm, dobrze. Mam nadzieję, że nie chcesz mu wyrzucić krzywdy. Zaprowadzę cię do niego, ale pamiętaj: żadnych sztuczek! – ostrzegła. Ja przytaknęłam, a skrzydlata elfka poszła gdzieś. Ruszyłam za nią dopiero, gdy spytała, dlaczego za nią nie idę.

- Jak ci na imię? – spytała obojętnym tonem.

- Aria – skłamałam.

- Czyżby? – znów poczułam, że stara się wyczytać coś z moich myśli.

Przytaknęłam. Staralam się nie myśleć o tym, że skłamałam. Musiałam skupić się na tym, że teraz mam na imię Aria. Aria, Aria, Aria.

Elfka nie odzywała się przez resztę drogi. Gdy dotarliśmy do niskiego i przysadzistego budynku, w którym najprawdopodobniej mieszkał przywódca skrzydlatych elfów, znajoma oddaliła się, zostawiając mnie samą. Przez dobre kilka minut zwlekałam przed zapukaniem i wejściem do środka. Przyglądałam się chwilę ścianom zarośniętymi bluszczem, aż w końcu wyciągnęłam rękę, aby zapukać. Nie zdążyłam dotknąć drewnianych, mocnych drzwi, a już ktoś otworzył je od środka. Była to jakaś elfka, która przywitała mnie z uśmiechem. Nieco zaskoczyło mnie jej to radosne nastawienie, ale odpowiedziałam trochę wymuszonym uśmiechem i weszłam, gdy mnie o to poprosiła. Zamknęła za mną drzwi, a ja rozglądałam się po pomieszczeniu.

Urządzając wnętrze tego budynku, chyba nie dbano o estetykę; nie było żadnych złocień, obrazów czy wspaniałych kolumn. Architektura wewnątrz została tu oparta raczej na średniowiecznych zamkach. Byłam ciekawa, jaki może być przywódca skrzydlatych elfów. Czy zgodzi się na współpracę? Jeżeli tak, to ilu pomocników wyśle? A jeśli nie?

Moje rozmyślania przerwała elfka, która zaprowadziła mnie do kolejnych drzwi, informując, że Taron – ich przywódca – już na mnie czeka. Weszliśmy do pomieszczenia, w którym już byłam umówiona na audiencję. Taron stał niedaleko drzwi. Był w średnim wieku, po bokach miał już parę siwych włosów. Elf przywitał się.

- Witam cię. Jestem Taron, przywódca skrzydlatych elfów – skłonił się lekko.

- A ja.. – zaczęłam, gotowa wypowiedzieć swoje fałszywe imię.

- Aisa. – dokończył Taron ku mojemu zaskoczeniu. – A więc, jaką masz do mnie sprawę? – spytał, nie pozwalając, bym zadała pytanie, skąd zna moje imię.

- Więc, jak zapewne wiesz, jest wojna między elfami leśnymi a ludźmi... – zaczęłam opowiadać Taronowi, jak fatalna jest sytuacja. Zwracając się do przywódcy, nie używałam form grzecznościowych, jednak jemu to chyba nie przeszkadzało.

Po mojej opowieści, Taron zmarszczył lekko brwi, zastanawiając się.

- Jeszcze raz: jak liczną macie armię?

- Jestem tylko... ja – odpowiedziałam nieśmiało. Przywódca przytaknął.

- Hm... Dobrze, a jakie będą korzyści z naszej pomocy?

- Że... będzie pokój?

Taron milczał chwilę, zastanawiając się nad czymś. Na jego czole pojawiła się szeroka zmarszczka.

- Nie. Nie zgadzam się – powiedział stanowczo. Jego niski ton głosu oznaczał, że nie ma opcji, by zmienić zdanie.

- No... dobrze, ale nie mógłbyś wysłać na wojnę chociaż dziesięciu swoich wojowników? – nalegałam.

– Już powiedziałem: nie! – Taron uniósł głos. - Nie będę poświęcał swoich żołnierzy, kiedy wiem, że nie mamy szans.

Nie pozostało mi nic innego, jak pożegnanie się i wyjście z budynku.

Jak się okazało, skrzydlata elfka, która była obecna podczas mojej rozmowy z Taronem, szła za mną.

- Ja ci pomogę – odezwała się. – O ile przyda ci się moja pomoc...

Odwrociłam się w jej stronę. Przyglądałam się chwilę złotoookiej elfce. Kasztanowe włosy, targane przez wiatr, zasłaniały częściowo jej twarz o delikatnych rysach.

- Więc..? – znajoma wyrwała mnie z zamyślenia.

- Dobrze – zgodziłam się. W końcu lepsza ona niż nikt!

Skrzydłata elfka ucieszyła się, jakby tu nie chodziło o Wielką Bitwę, w trakcie której mogła stracić życie. I tak oto skierowałam się w stronę Smoczych Skał w towarzystwie jednej, tryskającej pozytywną energią elfki.

- Mam na imię Lirea – odezwała się, przerywając ciszę.

Ja tylko przytaknęłam, a chwilę potem zostałam zalana deszczem pytań:

- Gdzie teraz idziemy? Kiedy dokładnie odbędzie się Wielka Bitwa? Czy będziemy mieli jakieś szkolenie? Potrzebujemy broni, skąd ją weźmiesz?

Postarałam się odpowiedzieć na te pytania, które zapamiętałam:

- Idziemy teraz do Smoczych Skał. Szukamy sojuszników, którzy pomogą nam w Wielkiej Bitwie. Potem wybierzemy się do skrzatów, by prosić ich o pomoc. One na pewno mają własną broń, a smoki zieją ogniem, strzelają plazmą czy cokolwiek innego. Tak więc mają czym atakować. Myślę, że z odpowiednią ilością sojuszników wygramy tę wojnę i w Lyrianie na zawsze zapanuje pokój.

Lirea przytaknęła. Zdawało mi się, że już nie ma do mnie ani jednego pytania. Myliłam się.

- Jak sama jedna przekonasz skrzaty i smoki, by ci pomogły? Jaki jest tego cel?

- Naszym głównym celem jest pokonanie ludzi, zrzucenie Adevara z tronu i posadzenie na nim Dayana, który jest już w odpowiednim wieku, by rządzić krajem.

Bardzo zależy mi na tym, by wygrać. – odpowiedziałam, starając się zachować stoicki spokój.

- A co, jeśli się nie zgodzą?

To zagadnienie dało mi do myślenia. Co się stanie, jeśli nie będę miała żadnych sojuszników prócz Lirei? Ludzie pokonawszy elfy leśne zaatakują te skrzydlate, potem przyjdzie kolej na skrzaty, i smoki! Musiałam uzbroić się w wielką siłę przekonywania, by karty i ogromne gady zgodziły się wziąć udział w Wielkiej Bitwie, która zbliżała się równie wielkimi krokami.

A co, jeśli postanowią dołączyć do ludzi? W sumie to jest taka możliwość, a jakby tak się stało, wrogowie wygraliby to starcie. Nie mogłabym pogodzić się z taką klęską.

Dalsza podróż obyła się bez zadawania pytań. W końcu dotarliśmy do Smoczyc Skał. Było to miejsce pozbawione roślin, wysuszone i ponure. Smoki uwielbiały takie miejsca ze względu na ich tajemniczość.

Przez dobrą minutę nie mogliśmy znaleźć żadnego śladu ani jednego gada. Na szczęście nie musiałyśmy czekać zbyt długo; po chwili przed nami wyładował ogromny, srebrny smok. Patrzył na nas z zaciekawieniem swymi mądrymi, złotymi oczami.

~ Witajcie, na imię mam Silber. Jestem władcą tych ziem. Co was sprowadza na Smocze Skały? – usłyszałyśmy głos w naszych głowach. Już tłumaczą: smoki porozumiewały się przez mowę w myślach.

- Jestem Aisa – odezwałam się, nie próbując już korzystać z tego wymyślnego imienia. – Razem z Lireą – wskazałam na skrzydlatą elfkę – przyszłyśmy prosić was o pomoc.

~ Pomoc? W czym moglibyśmy wam pomóc?

- Jak zapewne wiesz, od kilkunastu lat mamy wojnę... - zaczęłam i spojrzałam niepewnie na smoka. Ten jednak nie przerywał mi, poprosił, żebym kontynuowała. – A Wielka Bitwa będzie już za tydzień. Nie mamy jednak sojuszników, przez co przegramy tę wojnę.

~ Czyli mamy wam pomóc w Wielkiej Bitwie, ma się rozumieć? – upewnił się smok. Lirea przytaknęła.

- Tak. Jeśli ludzie wygrają, będzie źle. Adevar jest przywódcą ludzkich wojsk, a jak zapewne wiesz, ma on młodszego brata. Na imię mu Dayan. Planujemy posadzić go na tronie, by pokój na nowo zapanował w Lyrianie – wytłumaczyła skrzydłata elfka.

- Jeżeli wrogowie wygrają Wielką Bitwę, będą chcieli zaatakować skrzaty, a po następnym sukcesie nie zawahają się napaść na smoki! – dodałam.

Gad zdawał się interpretować każde nasze słowo po kolei. W końcu usłyszałyśmy jego głos w swojej głowie:

~ Smoki to silny gatunek. Damy sobie radę z ludźmi, kiedy nas zaatakują.

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy z wielkości ludzkiej armii – powiedziałam. Starłam się przekonać smoka za wszelką cenę. – Nie wątpię w to, że wy jesteście niezwykle silni, dysponujecie ogromnym żywiołem, jakim jest ogień. Jednak Adevar na pewno opracuje strategię, która sprawi, że i wy poniesiecie klęskę. Dlatego musimy się zjednoczyć i razem wziąć udział w Wielkiej Bitwie przeciwko ludziom. Jeśli połączymy siły, uda nam się wygrać tę wojnę i przywrócić pokój w naszym kraju.

~ Hm... - smok zaczął się zastanawiać. Zajęło mu to około dwóch minut, w końcu postanowił: - Dobrze. Wyślę na Wielką Bitwę cztery smoki. Uwierzcie, że to naprawdę dużo. Szybko rozprawią się z ludźmi.

Nie wierzyłam we własne szczęście. Smoki pomogą nam pokonać ludzi i wezmą udział w Wielkiej Bitwie! Razem z Lireą wymieniliśmy zadowolone spojrzenia i uśmiechnęłyśmy się.

- Dziękujemy ci, Silberze! – wykrzyknęłyśmy obie i przytuliłyśmy się do łap gada, a ten zdawał się uśmiechnąć.

~ Nie ma za co, elfki. Dobrze, pozwólcie, że zawiadomię resztę smoków o naszym udziale w Wielkiej Bitwie. Przypomnijcie mi tylko, gdzie ona się odbędzie?

- Na granicy pomiędzy terytoriami ludzi i elfów, na polanie - poinformowała Lirea z szerokim uśmiechem.

~ Dobrze. – smok spojrział w niebo. – Ściemnia się. Czy chciałbyście tutaj przenocować, zanim wyruszyacie w dalszą podróż?

- Oczywiście! Dziękujemy! – uśmiechnęłam się.

Gad zaprowadził nas do jednej z jaskiń, gdzie miałyśmy spędzić noc.

W środku było już kilka dorosłych smoków, a dwoje młodych walczyło o kawałek mięsa. Wtedy poczułam, że jestem głodna, ale postanowiłam się tym nie zamartwiać. Zasnęłam szybko, a w nocy śniła mi się Wielka Bitwa. Mój umysł przedstawił to jako krwawe starcie z ogromną ilością ofiar. Dwoje ludzi goniło mnie na koniach – jeden z toporkiem, drugi z mieczem w ręku. Uciekałam przed nimi na własnych nogach, gdyż sama nie miałam własnego wierzchowca. Po chwili drogę odciął mi trzeci człowiek, który miał skierowaną w moim kierunku strzałę. Wtedy potknęłam się i upadłam na ziemię, a ludzie wydali z siebie dziki, tryumfalny okrzyk, a ja starałam się bronić rękami i nogami przed napastnikami. Spojrzałam na ich wykrzywione złowieszczyimi uśmiechami twarze, a jeden z nich zamachnął się, by zadać mi ostateczny cios mieczem.

Obudziłam się ze strachem w oczach. Byłam cała spocona, nie mogłam złapać oddechu, a serce waliło mi jak szalone. Zobaczyłam Lireę i smoki śpiące tuż obok i uspokoiliłam się trochę, powtarzając sobie w duchu, że to był tylko sen, że wszystko jest w porządku. Jednak nie potrafiłam ponownie zasnąć, więc resztę nocy spędziłam na myśleniu, jak to będzie na Wielkiej Bitwie.



Następnego ranka razem z Lireą wyruszyłyśmy w dalszą podróż. Gdy już weszłyśmy do lasu, zaczęłyśmy zbierać jagody. Było ich dużo, gdyż krzewy z owocami rosły praktycznie wszędzie. Upewniwszy się, że są zdrowe, obmyłyśmy je w strumyku płynącym nieopodal, zjadłyśmy i popiłyśmy wodą z rzeczki. Terytorium skrzatów było całkiem blisko. Około południa dotarłyśmy do miejsca, w którym było dużo wielkich dębów. W nich właśnie mieszkały skrzaty. Dowodem na to były drzwi, które znajdowały się w prawie każdym dębie. A karły mieszkają w drzewach, więc byłyśmy pewne, że to tutaj.

Skrzaty, jak się okazało, nie są aż tak niskie; mnie i Lirei większość z nich sięgała do ramienia, najniższy do łokcia. Jeden z nich, młody blondynek zaprowadził nas do ich przywódcy. Karzełek miał na imię Yuriko i był bardzo chętny do walki, gdy dowiedział się, w jakim celu tu przybyłyśmy. Co za uroczy malec.

Zapukałyśmy do drzwi wielkiego dębu, w którym mieszkał niejaki Kimikou – przywódca skrzatów. Yuriko poszedł do swoich kolegów, a my poczekałyśmy, aż ktoś otworzy nam drzwi, zapraszając do środka.

W progu przywitał nas karzeł, który sięgał nam do brody – był wysoki w porównaniu do reszty skrzatów. Jak się okazało, był to Kimikou. Myślałam, że jako przywódca będzie ubrany inaczej, że jakoś wyróżnia się z tłumu. Nic takiego – miał na sobie ciemnoszarą bluzkę, zielone, przybrudzone spodnie i zieloną pelerynę. Był to typowy strój dla każdego skrzata. Jego brązowe włosy były trochę potargane, a patrząc na jego twarz – pomijając tajemniczą bliznę na policzku i kilka drobnych zmarszczek od uśmiechu – mogłabym uznać, że Kimikou jest jeszcze dzieckiem.

- Witajcie w naszym lesie – przywitał nas z uśmiechem. – Zapraszam was, drogie panie, do środka.

Wnętrze jego domku było skromnie urządzone. Dwie ściany wypełnione zostały półeczkami, na których stały różne grube książki. Po prawej stronie stało drewniane łóżko, a po drugiej stronie ściany było biurko, częściowo zavalone notatnikami i różnymi papierami. Kimikou wskazał nam trójnożny, okrągły stoliczek wykonany z drewna i krzeselka, na których miałyśmy usiąść. Zapewnił nas, że siedzenia nie złamią się pod naszym ciężarem, więc ze spokojem usiadłyśmy na nich. Skrzat przygotował nam miętowego, chłodnego wywaru. Muszę przyznać, że miał pyszny smak. Kimikou przysiadł się do nas z własnym kubkiem napoju i odezwał się:

- Słyszałem od innych skrzatów, że szukacie sojuszników do walki w Wielkiej Bitwie, tak?

Obie przytaknęłyśmy. Kimikou skinął głową.

- Przemyślałem to sobie i jestem z was dumny. Wreszcie ktoś zaczął robić coś z tą wojną! To bardzo uciążliwe, przez tyle lat siedzieć w jednym lesie, nie mogąc przejść na drugą stronę gór.

- Czyli... zgadzasz się? – upewniła się Lirea.

Skrzat spojrział na nas chłodno.

- Czy ja mówiłem, że się zgadzam? – spytał. Nasz nagły entuzjazm gdzieś zniknął, podobnie jak mimowolne uśmiechy z naszych twarzy. – Oczywiście, że się zgadzam! – Kimikou zaśmiał się, zadowolony, że udało mu się nas nabrać.

My także zaczęłyśmy się śmiać, a potem zaczęłyśmy dziękować skrzatowi.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nie trzeba było wcale go przekonywać, żeby zgodził się na to, by skrzaty wzięły udział w Wielkiej Bitwie. Było to dla mnie praktycznie niemożliwe, a jednak tak się stało.



Przez długi czas ćwiczyłam strzelanie z łuku i walkę wręcz na pobliskiej polanie. Ani się obejrzałam, a Wielka Bitwa miała się odbyć następnego dnia.

Razem z Lireą czekałyśmy na nadejście skrzatów i smoków na łączce, na której ćwiczyłam. Karły pojawiły się pierwsze. Wyrażały pełną gotowość do walki, uzbrojone były w miecze, niektóre w łuk, a inne w toporki.

Po krótkim czasie pojawiły się smoki. Nie było ich czworo, jak obiecał Silber, tylko osiem. Na ich czele stał sam przywódca wielkich gadów, wyglądał na pewnego siebie. Fakt, że smoków przyleciało dwa razy więcej niż ustalono, było dla mnie

miłym zaskoczeniem. Spojrzałam na liczną armię. Byłam z nich dumna, że postanowili stawić się przeciwko Adevarowi i ludziom. Nie było czasu na wygłaszanie długiej, nudnej mowy, że jestem z nich bardzo zadowolona i tak dalej. Przekazałam im to w znacznie skróconej wersji, a za to nagrodzona zostałam brawami.

Silber podszedł do mnie i Lirei i zgiął nogi, byśmy mogły go dosiąść.

- Trzymajcie się mocno! – ostrzegł i wzbił się w powietrze.

Latanie smokiem było niesamowitym przeżyciem. Ta przyjemność niestety nie trwała zbyt długo, gdyż po chwili byliśmy już na miejscu. Wylądowaliśmy, a niedługo potem pojawiła się reszta smoków. Na końcu dogoniły nas skrzaty, które z nas wszystkich poruszały się najwolniej.

Nie musieliśmy długo czekać na ludzi; dojrzelismy ich kilka minut po dotarciu na miejsce. Na ich czele szedł oczywiście Adevar. Wyglądał na pewnego siebie i dobrze wiedziałam, dlaczego. Jego armia liczyła kilkuset ludzi, moja natomiast miała zaledwie osiemdziesiąt skrzatów i osiem smoków. Gady skryły się w chmurach, by atakować z góry, więc Adevar nie wiedział o ich obecności.

Władca Lyrianu wystąpił kilka kroków przed swoją armią, pomyślałam więc, że ja muszę uczynić to samo. Nasze twarze spotkały się równo na granicy między terytoriami. Adevar stanął na palcach, jakby szukał kogoś wśród tłumu. Potem spojrzał na mnie i uśmiechnął się pogardliwie.

- Nie macie szans – stwierdził.

Jego zachowanie nie było godne króla, dlatego też nie używałam form grzecznościowych, zwracając się do niego:

- I nawzajem, królu-lulu – powiedziałam oschle. Oboje odwróciliśmy się plecami do siebie i wróciliśmy do swoich wojsk.

Krzyk Adevara „Do ataku!” ostatecznie rozpoczął bitwę.

Fala ludzi spłynęła na moją małą armię skrzatów. Łucznicy zostali z tyłu, by puszczać swe strzały z bezpiecznej odległości. Ja sama byłam wraz z nimi, gdyż lepsza byłam ze strzelania niż w walce mieczem czy sztyłem. Przedemną odgrywała się krwawa scena. Była przedstawiona gorzej niż w moim śnie. Wiele skrzatów umierało, podobnie jak ludzi. Sama też zabijałam wielu wrogów, co mimo wszystko ciążyło mi na sumieniu. Nieraz kilku z nich przedostawało się przez chmurę skrzatów, by dostać się do łuczników. Za każdym razem taka osoba przyplącała to życie.

Niektórzy ludzie po prostu stali gdzieś z boku. Widocznie taka była strategia Adevara, żeby najpierw połowa wykończyła większość skrzatów, a następnie do walki przystąpili ci, którzy są w pełni sił.

Po chwili do akcji wkroczyły smoki. Dwa gady zanurkowały i zaczęły zionąć ogniem w stronę tych, którzy nie brali udziału w bitwie, tylko czekali na swoją kolej. Słyszałam przerażone i zaskoczone krzyki, widziałam płonących żywcem ludzi. Byłam świadkiem, jak giną niewinne skrzaty, a Adevar śmieje się tryumfalnie, pewny wygranej. To było straszne. Nie mogłam stąd uciec, gdyż sama byłam przywódczynią jednej z armii. Musiałam walczyć.

Nagle zobaczyłam, jak jeden z ludzi przeszywa mieczem ciało Kimikou.

- Nie!!! – wrzasnęłam i wypuściłam strzałę w kierunku zabójcy, jednak ręce mi się trzęsły i chybiłam, trafiając innego wroga w udo. Spróbowałam ponownie i tym razem moja strzała przeszła serce zabójcy mojego tak niedawno poznanego przyjaciela. Gdy do niego podbiegłam, zobaczyłam, że skrzat już nie żyje. Zapłakałam nad jego ciałem, nie zauważywszy, że jeden z ludzi podbiega do mnie, by zadać cios mieczem. Odwróciłam się w momencie, gdy jeden ze skrzatów zabijał mego napastnika. Uśmiechnęłam się do wybawiciela, a ten odpowiedział tym samym, po czym pobiegł ku następnemu przeciwnikowi. Niedługo potem zobaczyłam jakąś znajomą twarz. Wytężyłam wzrok, by przyjrzeć się postaci. Po chwili ta osoba na chwilę przystanęła z boku, trzymając się za lewe ramię. Wtedy rozpoznałam w nim... Kiyuko! Mojego starego przyjaciela Kiyuko, którego ostatnio widziałam sześć lat temu! Zaraz, zaraz... Spotkałam go też całkiem niedawno. W lesie, gdy wracałam do swojej kryjówki. To był on! Dlatego wydawał mi się być taki znajomy! Jak ja za nim tęskniłam! Nie pokazywał mi się przez tyle lat...

Ku mojemu zaskoczeniu odkryłam, że należy do armii Adevara. Co się z nim wtedy działo? Byłam szczęśliwa, że go widzę, a z drugiej strony wściekła. Jak mógł zdradzić swój ród?!

Nie wiedziałam, czy podejść do niego, czy nie. Postanowiłam jednak tego nie robić. Kiyuko raz na mnie spojrzał, ale nie uśmiechnął się ani nie podszedł do mnie. Zignorował mnie, jakbym po prostu była nieznajomą. Niedługo potem elf zniknął mi z oczu, gdyż pobiegł w stronę lasu. Po długim czasie – głównie dzięki smokom – prawie wszyscy ludzie byli zabici. Skrzatów też nie przeżyło dużo, ale ich liczba była większa niż ocalałych ludzi. Nawet Adevar leżał na ziemi nieruchomo. Wszystko wskazywało na to, że chyba nie żyje..

Zobaczyłam że Lirea czołga się w stronę pobliskiego głazu. Jej tunika przesiąkała krwią, a jedno skrzydło było naderwane. Podtrzymując się głazu, podniosła się i usiadła, dysząc ciężko. Pobiegłam do niej wystraszona nie na żarty. Zobaczyłam, że jest cała poraniona, a jedna z ran była naprawdę głęboka. Lirea spojrzała na mnie i uśmiechnęła się blado, a potem osunęła na ziemię, jęcząc z bólu.

- Lirea... - odezwałam się, kłękając przy przyjaciółce.

Ta znów wymusiła się na uśmiech, szepcząc:

- Czy to już koniec..? Wygraliśmy..? - jej głos był bardzo słaby.

- Tak, kochana, wygraliśmy – przytaknęłam, głaszcząc elfkę po głowie.

Lirea skinęła głową i przytknęła oczy. Zrozumiałam, co się dzieje.

- Lirea! Nie umieraj, proszę cię!

- Aiso... Możesz mi coś obiecać? – spytała Lirea, nie otwierając oczu.

- Tak, Lireo?

- Obiecuj mi, że przeżyjesz...

- Obiecuję. A ty mi obiecuj, że nie umrzesz, dobrze?

Elfka przytaknęła, a potem syknęła z bólu, kuląc się i kładąc rękę na swojej głębokiej ranie. Przytuliłam moją przyjaciółkę do siebie, a ta oddychała coraz wolniej i ciężiej. Spojrzałam na jej piękne, złote oczy, które zdawały się robić szare.

- Lirea! Nie umieraj! Proszę cię, nie rób mi tego! – chwyciłam jej twarz w dłonie, wystraszona.

- Przepraszam, Aiso... - wyszeptała Lirea i wtedy jej ciało stało się bezwładnie niczym piękna lalka, a oczy patrzyły gdzieś w dal.

Zapłakałam, patrząc na moją przyjaciółkę, która umarła na moich rękach... Byłam zła na siebie. Taka wspaniała elfka zginęła przede mną... Miała przed sobą jeszcze tyle lat życia..! Patrzyłam na Lireę, nie mogąc powstrzymać łez. Dwoma palcami zamknęłam jej oczy, a wtedy zobaczyłam, że Adevar się podnosi. Chwyciłam swój sztylet i rzuciłam nim w niego. Na szczęście trafiłam i były król Lyrianu upadł na ziemię. Spojrzałam na ludzi, którzy szykowali się do ucieczki. Silber zionął ogniem, kończąc ich żywot. Smoki wylądowały na ziemi, a skrzaty zaczęły szukać wśród leżących tych, którzy ocalali.

- Pani – odezwał się Silber. – Zwyciężyliśmy!

Przytaknęłam. Ten sukces teraz mnie nie cieszył. W Wielkiej Bitwie zginęła moja najdroższa przyjaciółka Lirea i przywódca skrzatów a zarazem mój przyjaciel Kimikou.



Pogrzeb poległych odbył się następnego ranka. Polana, na której odnieśliśmy sukces, została nazwana Polaną Zwycięstwa, jednak uznałam, że to nie jest odpowiednia nazwa. Nienawidziłam tego miejsca, więc omijałam je z daleka. Przychodziłam tam tylko co miesiąc, by odwiedzić groby Kimikou i Lirei. Niedługo potem usłyszałam, że Dayan został koronowany na króla. W Lyrianie zapanował pokój, jednak mnie to już nie obchodziło. Zdecydowanie wolałam czasy, w których moi przyjaciele jeszcze żyli. Co z tego, że był to okres wojny.



Pewnego dnia, poszłam na Polanę Zwycięstwa, by odwiedzić grób Lirei i Kimikou. Spoczywali oni obok siebie. Jak co miesiąc przeczytałam oba napisy na ich grobach:

„Tu spoczywa Lirea Sante, jedyna skrzydlata elfka walcząca w trakcie Wielkiej Bitwy. Pokój jej duszy.”

„ Tu spoczywa Kimikou Tolkin, przywódca skrzatów. Zginął w trakcie Wielkiej Bitwy. Pokój jego duszy.”

Czytając te napisy, zapłakałam. Położyłam kwiaty na ich grobach i smutna wyszłam z polany. W drodze powrotnej spotkałam Kiyuko. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, elf podszedł do mnie.

- Cześć, Aiso... - zaczął.

- Ty zdrajco! – krzyknęłam. – Jak mogłeś...

- Nie miałem wyboru – Kiyuko przerwał mi. – Grozili, że cię zabiją, jeśli nie dołączę do ich armii. Przepraszam, Aiso...

„Przepraszam, Aiso...” Te same słowa wypowiedziała Lirea tuż przed śmiercią. Rozpłakałam się, a Kiyuko przytulił mnie. Gdy powstrzymałam łzy, postanowiłam dać

mu drugą szansę i wybaczyłam mu to, co zrobił. Razem poszliśmy na łąkę i spędziliśmy tam resztę dnia.



Ja i Kiyuko ponownie staliśmy się przyjaciółmi. Minęło pół roku i elf oświadczył mi się, a ja powiedziałam magiczne słowo: „tak”. Razem dożyliśmy sędziwej starości, a przez te wszystkie lata co roku hucznie obchodzono rocznicę Wielkiej Bitwy. Stałam się jedną z bohaterek tego wydarzenia, ale ja tę datę wspominałam bardzo boleśnie.

W końcu przyszedł czas, kiedy odwiedził mnie anioł śmierci.

I tak właśnie zakończył się mój żywot, żywot Aisy Sailonne z Sahalardu.

Autor: Bogna Kurczewska lat 14 (klasa II)
„Wielka Bitwa”
Gimnazjum nr 3 im. Polskich Noblistów
Os. Czwartaków 1
62-020 Swarzędz
Tel. (61) 817-49-50
Nauczyciel: Aneta Kot